

# STEPHEN KING

JAKO RICHARD BACHMAN

## UCIEKINIER



# **...Minus 100 odliczanie trwa...**

Spoglądała na termometr w bladym świetle padającym przez okno. W oddali, skąpane w potokach deszczu, wznosiły się szare wieżowce Co-Op City, jak mroczne wieżyczki olbrzymiego więzienia. W dole, w szybie wentylacyjnym, rozciągała się lina, na której wisiało świeże pranie przypominające wyciągnięte psu z gardła szmaty. Szczury i tłuste uliczne koty buszowały w stosach śmieci. Spojrzała na męża. Siedział przy stole i patrzył na program Free Vee. Był skoncentrowany i spięty. Oglądał tę audycję od paru tygodni. W każdym mieszkaniu znajdował się telewizor — taki był nakaz prawny. Prawo zezwalało jednak na wyłączenie odborników. Przymusowy dodatek pieniężny z 2021 roku nie uzyskał wymaganej przewagi dwóch trzecich głosów, zabrakło sześciu głosów. Zazwyczaj nie oglądali telewizji. Odkąd jednak Cathy zachorowała, szukał sposobu na zarobienie pieniędzy. To właśnie przerażało ją najbardziej. W tle komentarza spikera, przedstawiającego lekko

słumionym głosem najnowsze wiadomości, rozległo się ciche pojękiwanie chorej na gripę Cathy.

— Bardzo z nią kiepsko? — spytał Richards.

— Nie.

— Nie oszukuj mnie.

— Czterdzieści stopni.

Uderzył pięściami w stół. Plastikowy półmisek podskoczył i z trzaskiem opadł.

— Sprowadzimy lekarza. Nie martw się.

Posłuchaj... Odwrócił się i ponownie patrzył w telewizor. Pół godziny komentarza minęło. Znowu zaczęto nadawać transmisję z jednej z gier. Nie była to gra wielkiego kalibru — zwykła codzienna zabawa zwana Dolarową Karuzelą. Przyjmowano do niej wyłącznie ludzi chorych na serce, wątrobowców, gruźlików, a niekiedy dla zabawy pozwalano wziąć w niej udział kalekom. Uczestnik dostawał dziesięć dolarów za każdą minutę, jaką wytrzymał, stojąc na obracającym się kole fortuny i gawędząc z prowadzącym. Prowadzący co dwie minuty zadawał pytanie premiowe — różne w zależności od tego, w jakiej dziedzinie gry startował dany uczestnik. Obecny gracz, sercowiec z Hackiensack, dostał pytanie z historii Stanów Zjednoczonych, za które otrzymywał dodatkowe pięćdziesiąt dolarów. Jeżeli uczestnik, skołowany, zdyszany, z sercem wyczyniającym w jego piersi dziwaczne harce, nie dosłyszał pytania, potrącano mu z wygranej taką samą sumę, a koło fortuny nabierało prędkości.

— Poradzimy sobie jakoś, Ben. Zobaczysz. Naprawdę. Ja...

— Co „ty”? — Spojrzał na nią z wściekłością. — Pójdiesz na ulicę? O nie, Sheila. Ona musi mieć prawdziwego lekarza. Koniec z blokowymi znachorami o brudnych rękach i oddechu

prześlągniętym whisky. Jej potrzebny jest nowoczesny sprzęt i dobra opieka. Zajmę się tym.

Chodził po pokoju, wpatrując się jak zahipnotyzowany w zamontowany nad zlewem ekran Free Vee. Zdjął z haka tanią skórzaną kurtkę i nałożył ją z grymasem obrzydzenia.

— Nie. Nie pozwolę ci... Nie pójdziesz do...

— A dlaczego nie? W najgorszym razie dostaniesz parę dolców jako samotna matka wychowująca dziecko. Tak czy inaczej, będziesz miała pieniądze, aby ją z tego wyciągnąć.

Nigdy nie była najładniejsza, a od kiedy mąż przestał pracować, na jej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki. W tej chwili wyglądała jednak naprawdę oszałamiająco, władczo.

— Nie mogę się na to zgodzić. Gdyby przyszedł tu facet z telewizji z kilkoma dolarami, odesłałabym go. Czy mam się zgodzić na tak wielkie poświęcenie z twojej strony? Czy mogłabym przyjąć nagrodę za twoją głowę?

Odwrocił się w jej stronę z dziwnym wyrazem twarzy. Próbował zebrać się w sobie, stłumić coś, co drażyło go od wewnątrz. Coś niewidzialnego, powodującego, że tak uważnie oglądał program Free Vee. Był zakłopotany. Może dręczyła go świadomość niebezpieczeństwa? Skinął ponuro w stronę sypialni.

— Czy pomyślałaś o niej, leżącej w nieoznaczonym grobie dla ubogich? Myślałaś o tym?

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

— Ben, oni tego właśnie chcą. Chcą nas wszystkich załatwić i pozbyć się takich jak ty czy ja.

— Może tym razem im się nie uda — powiedział, otwierając drzwi. — Może mnie nie dostaną.

— Jeśli tam pójdziesz, zabiją cię. A ja będę na to patrzeć.

Chcesz, żebym na to patrzyła, podczas gdy ona leży tam, w drugim pokoju? — Płakała i ledwo można było ją zrozumieć.

— Chcę, aby żyła.

Próbował zamknąć drzwi, ale zastawiła je własnym ciałem.

— Pocałuj mnie, zanim odejdziesz.

Pocałował ją. W końcu korytarza pani Jenner otworzyła drzwi i wyrzała na zewnątrz. Dotarła do nich woń smażonej wołowiny i gotowanej kapusty — woń bogactwa. Zapach kusił i doprowadzał do obłędu. Pani Jenner zrobiła niezłą robotę. Pomogła w przyłapaniu miejscowego handlarza narkotyków i zawsze miała oko na „nielegalnych”.

— Przyjmiesz pieniądze? — spytał Richards. — Nie zrobisz nic głupiego?

— Przyjmę — szepnęła. — Wiesz, że przyjmę.

Objął ją mocno, po czym odwrócił się szybko i ruszył na dół po kiepsko oświetlonych schodach. Stała w drzwiach, pochlipując w milczeniu tak długo, aż usłyszała odgłos zamykanych pięć pięter niżej drzwi wejściowych, a potem skryła twarz w połę fartucha. W dłoni wciąż trzymała termometr, którym przed chwilą mierzyła dziecku temperaturę. Pani Jenner podeszła do niej i pociągnęła za sukienkę.

— Kochanie — szepnęła. — Jeżeli chcesz, odstąpię ci trochę penicyliny, rzecz jasna po czarnorynkowej cenie. Jak już dostaniesz te pieniądze... To dobry towar, najlepszy.

— Wynos się! — krzyknęła Sheila.

Pani Jenner cofnęła się. Uniosła instynktownie górą wargę, ukazując rząd poczerniałych pieńków.

— Próbowałam ci pomóc... — mruknęła i wróciła do pokoju.

Jęki Cathy nie cichły. Nie tłumila ich cienka ścianka

działowa z tworzywa sztucznego. Odbiornik w pokoju pani Jenner był włączony na cały regulator. Uczestnik Dolarowej Karuzeli nie odpowiedział na kolejne pytanie i w tej samej chwili dostał ataku serca. Wyniesiono go na noszach, przy hucznych wiwatach tłumu. Pani Jenner zapisała w notatniku nazwisko Sheili Richards.

— Jeszcze zobaczymy — wysyczała w próżnię. — Jeszcze zobaczymy, słodziutka.

Z trzaskiem zamknęła notatnik i usiadła, aby obejrzeć z uwagą kolejną grę.

# ...Minus 099 odliczanie trwa...

Zanim Richards wyszedł na ulicę, deszcz zmienił się w ulewę. Wskaźnik olbrzymiego termometru na domu naprzeciwko zatrzymał się na dziesięciu stopniach. W ich mieszkaniu musiało więc być około szesnastu stopni, a Cathy miała grypę. Szczur spacerował leniwie po spękanej i nierównej nawierzchni ulicy. Po przeciwnej stronie, na rozpadających się osiach stał i rdzewiał wrak humbera z 2013 roku. Został całkowicie rozebrany — zniknęły nawet dekle i łożo silnika, ale gliniarze nie zabrali go z ulicy. Rzadko zapuszczali się w południowe rejony Kanału. Co-Op City było jedną wielką wylęgarnią radioaktywnych szczurów, na którą składały się parkingi, puste sklepy, centra handlowe i opustoszałe boiska. Prawo ustanawiały tu gangi motocyklowe, a informacje o nieustraszonych oddziałach policji blokowej były wierutną bzdurą. Na ulicach panowała głęboka cisza. Jeśli trzeba było wyjść z domu, należało zaopatrzyć się w pojemnik z gazem.

Szedł szybko, nie rozglądając się. Nie myślał o niczym. Powietrze było gęste, przesiąknięte siarką. Cztery motocykle minęły go z rykiem. Ktoś rzucił w niego niewielkim postrzępionym kawałkiem asfaltowej nawierzchni. Uchylił się z łatwością. Dwa pneumobusy przejechały obok, omiatając go strumieniem powietrza, ale nie machnął w ich stronę, by się zatrzymały. Dwadzieścia nowych dolarów — zasiłek dla bezrobotnych — rozplynęło się gdzieś. Nie miał pieniędzy, aby uiścić opłatę za przejazd. Przypuszczał, że członkowie gangów ulicznych domyślili się, że jest bez grosza. Dotarł do celu przez nikogo nieniepokojony.

Wieżowce, koncerty, wysokie ogrodzenia i parkingi były puste, jeśli nie liczyć rozebranych doszczętnie wraków. Obsceniczne hasła wypisywano kredą na chodnikach i w rynsztokach. Na splekanych szarych ścianach nabazgrano: FRAJERZE, UWAŻAJ, ŻEBY SŁOŃCE NIE WYPALIŁO CI USZU. SZMALOWNI OLEWAJĄ BIEDAKÓW. TWOJA MATKA CIĄGNIE DRUTA. MAM CHĘĆ OBRAĆ TWOJEGO BANANA. TOMMY TO ĆPUN. HITLER TO BYŁ KTOŚ! MARY, SID. WYRŻNAĆ WSZYSTKICH PEDAŁÓW. Stare lampy sodowe, założone jeszcze w latach siedemdziesiątych, wytłuczono kamieniami i kawałkami asfaltu. Żaden technik nie przybył jednak, aby je naprawić. Ich usługi były zbyt drogie. Technicy na krok nie opuszczali centrum miasta, nie pojawiali się na przedmieściach.

Na ulicy panowała cisza, jeżeli nie liczyć wznoszącego się, a potem opadającego szumu przejeżdżających pneumobusów i echa kroków Richardsa. To pole bitewne ożywało dopiero nocą. Za dnia przedmieście było szarym, ponurym, milczącym terytorium, a na ulicach można było dostrzec jedynie koty,



szczury i grube, białe robaki kłębiące się w stertach odpadków i śmieci. Dominującym zapachem wspaniałego roku 2025 była dusząca woń rozkładu. Kable sieci Free Vee biegły głęboko pod ulicami miasta i nikt, może poza jakimś szaleńcem lub rewolucjonistą, nie próbował ich uszkodzić. Free Vee to produkt marzeń. Scag kosztował dwanaście starych dolarów za torebkę, Frisco Push — dwadzieścia. Free Vee dostępne było za darmo. Nieco dalej, po drugiej stronie Kanału maszyna snów pracowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pracowała na nowe dolary, które były tylko dla zatrudnionych. Na południe od Kanału, w Co-Op City mieszkało około czterech milionów bezrobotnych.

Richards przeszedł prawie pięć kilometrów. Liczba napotykanych przez niego sklepów monopolowych i smoke-shopów nagle wzrosła. Potem pojawiły się pierwsze sex-shopy (Dwadzieścia cztery rodzaje wymyślnych perwersji erotycznych! Wypróbuj wszystkie!), burdele, Emporium Krwi. Wielbiciele trawki siedzieli na motocyklach na każdym rogu, z trzewiami wyżartymi przez narkotyki i dobiegali kresu swego plugawego życia. Widział teraz dokładnie olbrzymie i lśniące drapacze chmur, których szczyty tonęły gdzieś wśród obłoków. Najwyższy był stupiętrowy Gmach Gier, którego górna połowa skrywała się w kłębach smogu i chmur. Skoncentrował swoją uwagę na wieżowcu i przeszedł tak następne dwa kilometry. Na drodze napotykał teraz wytworne kina i sklepy. Nie było już tanich barów, tylko smoke-shopy. Na każdym rogu stał uzbrojony policjant. Minął park miejski. Wytwornie ubrane matki patrzyły na rozbawione dzieci, które biegały po trawiastych alejkach. Przy bramie po obu stronach stali gliniarze.

Przeszedł przez most na Kanale. Kiedy zbliżał się do Gmachu Gier, ten zdawał się rosnąć w oczach, stawał się coraz bardziej nieprawdopodobny z rzędami biurowych okien przypominających połyskujący marmur. Policjanci obserwowali go gotowi przegnać gdzie pieprz rośnie, gdyby uznali, że mają do czynienia ze zwykłym włóczęgą. W mieście człowiek w szarych, luźnych spodniach, o kiepsko przyciętych włosach i podkrążonych oczach mógł zmierzać tylko w jednym kierunku — w stronę Gmachu Gier.

Eliminacje wstępne zaczynały się zazwyczaj w południe. Kiedy Ben Richards ustawił się w długiej kolejce za ostatnim mężczyzną, znajdował się niemal w cieniu olbrzymiego budynku. Gmach Gier był jednak wciąż ze dwa kilometry przed nim. Kolejka przypominała ogromnego węża. Wkrótce za nim ustawili się następni. Gliniarze przyglądali się im, oparłszy dłonie na kolbach rewolwerów lub rękojeściach pałek. Uśmiechali się anonimowymi, pogardliwymi uśmieszkami.

— Ten to wygląda jak półgłówek, no nie, Frank? Na takiego wygląda.

— Ten to sprawia wrażenie, jakby czekał tylko na kąpiel w budynku. Wyobrażasz sobie?

— Sukinsyny. Ja tam bym...

— Pozabijaliby własne matki dla...

— Cuchną, jakby nie kąpali się od...

— Nic mnie tak nie cieszy jak...

Z opuszczonymi głowami, w strugach deszczu, kręcili się tak bez wyraźnego celu. Chwilę później kolejka zaczęła wolno przesuwać się naprzód.

# ...Minus 098

## odliczanie trwa...

Było już po czwartej, kiedy Ben Richards znalazł się przy stole głównym, po czym skierowano go do stolika numer dziewięć. Kobieta siedząca w plastikowym fotelu wyglądała na zmęczoną i bezwzględną. Spojrzała na niego jak na powietrze.

— Nazwisko i imiona.

— Richards. Benjamin Stuart.

Jej palce śmigały po klawiaturze.

Du-du-du-du-du — odpowiedziała maszyna.

— Wiek, wzrost, waga.

— Dwadzieścia osiem lat, sto osiemdziesiąt siedem centymetrów, siedemdziesiąt pięć kilogramów.

Du-du-du-du-du.

— Czy był badany testem Weschlera, a jeśli tak, to z jakim wynikiem i w jakim wieku?

— Sto dwadzieścia sześć. W wieku czternastu lat.

Du-du-du-du-du.

W olbrzymim holu trzaski dobywające się z maszyny odbijały się grobowym echem. Zadawano pytania i uzyskiwano odpowiedzi. Wyprowadzano płaczących. Co chwila rozlegały się ochryple okrzyki protestu. Pytania. Zawsze tylko pytania.

— Ostatnia ze szkół, do jakiej uczęszczał...

— Manual Trades.

— Ukończył ją?

— Nie.

— Ile lat uczęszczał i w jakim wieku opuścił szkołę?

— Przez dwa lata. W wieku szesnastu lat.

— Powód odejścia?

— Ożeniłem się.

Du-du-du-du-du.

— Imię, nazwisko i wiek małżonki.

— Sheila Catherine Richards. Lat dwadzieścia sześć.

— Imiona i wiek dzieci, jeżeli są.

— Catherine Sarah Richards. Osiemnaście miesięcy.

Du-du-du-du-du.

— Ostatnie pytanie. Nie radzę kłamać, oni i tak to wyczują i zdyskwalifikują pana podczas testów fizycznych. Czy używał pan kiedykolwiek heroiny albo syntetycznej amfetaminy halucynogennej znanej jako San Francisco Push?

— Nie.

Du-du.

Plastikowa karta wypadła na stół. Kobieta wręczyła ją Richardsowi ze słowami:

— Nie zgub tego, koleś. Gdyby tak się stało, musiałbyś w przyszłym tygodniu zacząć wszystko od początku.

Przyjrzała mu się z uwagą. Zobaczyła przepelnione

wściekłością oczu, wynędzniałe ciało. Wyglądał nieźle. Był inteligentny. Był dobry. Cofnęła nagle rękę z kartą i nakryła ją dłonią z dziwnym wyrazem twarzy.

— Po co to panu?

— Nieważne. Ktoś później odpowie na pani pytanie. Być może.

Wskazała ponad jego ramieniem w stronę długiego holu prowadzącego do rzędu wind. Ludzie, którzy odeszli od stołów, byli tam zatrzymywani. Okazywali karty identyfikacyjne i przepuszczano ich dalej. Richards zauważył, że drżący i blady na twarzy ćpun został zatrzymany przez gliniarza. Wskazano mu wyjście. Narkoman zaczął płakać. Chwilę później znikł za drzwiami.

— Świat jest okrutny, koleś — powiedziała bez cienia sympatii kobieta za stołem. — Ruszaj.

Richards odszedł. Za jego plecami litania pytań zaczęła się od nowa.

# ...Minus 097

## odliczanie trwa...

Na końcu korytarza wiodącego od linii stołów mocna jak skała, wypielegnowana dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

— Karta, człowieku.

Okazał dokument. Gliniarz uspokoił się. Na jego twarzy pojawił się nagle grymas rozczarowania.

— Lubisz zawracać stąd ludzi, co? — spytał Richards. — To cię dowartościowuje? Czujesz potęgę swego stanowiska?

— Chcesz wrócić na przedmieścia, frajerze?

Richards minął go. Zatrzymał się w pół drogi do wind i odwrócił głowę.

— Hej, gliniarzu...!

Policjant spojrział nań z zaciętością.

— Masz rodzinę? Może w przyszłym tygodniu nadejdzie twoja kolej...

— Jazda! — warknął wściekle gliniarz.

Richards ruszył dalej, uśmiechając się. Przy windach czekał rząd około dwudziestu ludzi. Pokazał kolejnemu

policjantowi swoją kartę. Ten przyjrzał mu się uważnie.

— Twardziel z ciebie, co?

— Owszem — odparł Richards i uśmiechnął się. Policjant oddał mu kartę.

— Już oni cię tam utemperują. Ciekaw jestem, czy będziesz gadał równie bezczelnie z paroma kulami we łbie.

— Tak bezczelnie, jak ty gadasz, kiedy nie masz przy sobie broni i jesteś bez spodni — odparł Richards, wciąż się uśmiechając.

Przez chwilę zdawało się, że gliniarz ma ochotę go uderzyć.

— Oni dadzą ci szkołę — rzekł policjant. — Będziesz błagał ich na kolanach, żeby przestali...

Skinął na trzech nowo przybyłych i zażądał, by okazali karty. Mężczyzna stojący przed Richardsem odwrócił się. Miał kędzierzawe włosy i wyglądał na zdenerwowanego i nieszczęśliwego.

— Nie zadzieraj z nimi, stary. Oni tu grają pierwsze skrzypce.

— Czyżby? — spytał Richards, spoglądając na niego przyjaźnie.

Mężczyzna się odwrócił. Nagle drzwi windy się otworzyły. Policjant z olbrzymim brzuchem stał przy ścianie z przyciskami kontrolnymi. Drugi gliniarz siedział na stołku w małym, kuloodpornym pomieszczeniu wielkości budki telefonicznej, czytając trójwymiarowy magazyn pornograficzny. Pomędzy jego kolanami sterczał obrzyn. Obok stały ustawione rzędem naboje, po które w razie potrzeby mógł z łatwością sięgnąć.

— Cofnąć się pod ścianę! — krzyknął z powagą grubas.  
— Pod ścianę!

Stłoczyli się w zbitą, gęstą masę — tak gęstą, że zaczerpnięcie głębszego oddechu było niemożliwe. Z każdej strony otaczały Richardsa ponure sylwetki. Wjechali na drugie piętro. Drzwi otworzyły się raptownie. Richards, który był o głowę wyższy od pozostałych skłębionych we wnętrzu windy ludzi, zobaczył olbrzymią poczekalnię, wewnątrz której stał długi rząd foteli. Na jednej ze ścian znajdował się olbrzymi odbiornik Free Vee. W rogu zauważył automat z papierosami.

— Wysiadać! Wysiadać! Przy wychodzeniu okazujcie karty identyfikacyjne!

Wyszli z windy, pokazując dokumenty bezosobowemu oku kamery. Nieopodal stali trzech gliniarze. Z jakichś powodów na widok około dwunastu kart rozległ się brzęczyk, a ich posiadacze zostali natychmiast gdzieś odprowadzeni. Richards pokazał swoją i pozwolono mu przejść dalej. Podeszedł do automatu, kupił paczkę blamów i usiadł możliwie jak najdalej od odbiornika. Zapalił papierosa i zaciągnął się. Kaszłał przez chwilę. Prawie od sześciu miesięcy nie miał w ustach papierosa.



# ...Minus 096

## odliczanie trwa...

Ludzie, których nazwiska zaczynały się na A, zostali niemal natychmiast zabrani na testy sprawnościowe. Dwudziestu paru mężczyzn wstało i wyszło przez drzwi znajdujące się za ekranem. Nad drzwiami znajdował się napis: TĘDY. Pod legendą widniała strzałka wskazująca drzwi. Niewielu ludzi biorących udział w Grach potrafiło czytać. Piętnaście minut później wezwano kolejną grupę. O piątej Richards zajął miejsce w fotelu. Domyślał się, że jego kolej nadejdzie około dziewiątej. Marzył, by móc w tej chwili trzymać w dłoni książkę, ale uznał, że dobrze się stało, iż nie wziął żadnej ze sobą. Książki wzbudzały podejrzenia, zwłaszcza gdy miał je ktoś, kto pochodził z południowej dzielnicy, znad Kanału. Trójwymiarowe pisma porno były z pewnością o wiele bezpieczniejsze.

O szóstej obejrzał bez przekonania wiadomości i kiedy na ekranie pojawiła się zapowiedź kolejnej z wielkich gier, podszedł obojętnym krokiem do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Teraz, kiedy miał już wszystko za sobą, Gry znowu zaczęły go nudzić. Inni zapewne z zainteresowaniem przyglądali się Zabawnej Broni. W następnym tygodniu być może nadejdzie ich kolej...

Dzień zmieniał się w zmierzch. Elsy na pierścieniach siłowych przemykały za oknami pierwszego piętra, ich reflektory ostro cięły mrok. Na ulicach tłumy mężczyzn i kobiet (większość stanowili, rzecz jasna, technicy i biurokraci Sieci) rozpoczynały swoją wieczorną włóczęgę w poszukiwaniu rozrywek. Zarejestrowany handlarz narkotyków sprzedawał swój towar na przeciwległym rogu ulicy. Mężczyzna z dwiema dziewczynami uwieszonymi u jego ramion minął go obojętnie.

Richards zatęsknił nagle za domem, za Sheilą i Cathy. Chciał do nich zadzwonić, wątpił jednak, by mu na to pozwolono. Ciągłe jeszcze mógł zrezygnować. Kilku już to zrobiło. Uśmiechając się, wyszli z pokoju przez drzwi zaopatrzone w napis: NA ULICĘ.

Wrócić do mieszkania, w którym leżała jego rozpalona gorączką córka? Nie. Nie mógł. Nie mógł zawrócić. Stał przy oknie jeszcze przez chwilę, po czym powrócił na swoje miejsce. Zaczęła się nowa gra pod nazwą Wykop Sobie Grób. Mężczyzna siedzący obok Richardsa pociągnął go trwożliwie za rękę.

— Czy to prawda, że około trzydziestu procent odpada na testach sprawnościowych?

— Nie wiem — odrzekł Richards.

— Jezu! — rzekł tamten. — Mam bronchit. Może...  
Dolarowa Karuzela...

Richards nie odpowiedział. Oddech siedzącego obok

mężczyzny przypominał sapanie parowozu wspinającego się na szczyt wysokiej góry.

— Jestem ciężko chory — rzekł tamten cicho.

Richards patrzył na program, jakby nagle go zainteresował. Mężczyzna milczał przez dłuższy czas. Kiedy o siódmej trzydzieści program znowu się zmienił, Richards słyszał, jak tamten pyta o test sprawnościowy drugiego sąsiada. Na zewnątrz było już ciemno. Zastanawiał się, czy nadal pada. Wieczór zdawał się ciągnąć w nieskończoność.